



Młodzieżowa
Agencja
Wydawnicza

RSW

„Prasa-Książka-Ruch”

04-028 Warszawa, Aleja Stanów Zjednoczonych 53

S C E N A

02-063 WARSZAWA

ul. Reja Nr 9

7

NT

z dn.

-07-85

W połowie lat sześćdziesiątych naszego stulecia, zdarzyła się taka oto, zabawa i pouczająca zarazem historyjka. Oto na pionierski, znakomity spektakl Danuty Michałowskiej pt. *Bramy raj* przyszedł sam Tadeusz Różewicz po to – jak powiedział – aby się przekonać, czy rzeczywiście można słuchać jednej aktorki przez przeszło dwie godziny, bowiem nie mógł sobie tego wyobrazić. Zaryzykował i nie żałował. Eksperyment zakończył się pomyślnie.

W połowie lat osiemdziesiątych, w czasach wszechwiedzy o szalenie popularnej formie wypowiedzi artystycznej, spróbowałem powtórzyć to doświadczenie. Wybrałem się więc na XIX Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora do Torunia, mając pełną świadomość, że czeka mnie obejrzenie siedemnastu spektakli (!) w ciągu czterech dni (!), z czego trzy spektakle traktować będą o wariatach (!). Eksperyment zakończył się pomyślnie. Ryzyko było opłacalne. W dniach od 15 do 18 marca 1985 roku uczestniczyłem w prawdziwej artystycznej uczcie, imprezie jakich długo się nie zapomina.

Niestety nieporozumieniem okazał się spektakl Ryszarda Farena *Noc wigilijna* wg Michała Markowskiego. Jak można było dopuścić do poważnej imprezy tak grafomański tekst. Dariuszowi Odiji powiodło się o tyle lepiej, że występował ostatniego dnia i na dyskusję nie było już czasu. Ale ja widzę oczami wyobraźni tę publiczną rozprawę na temat jego *Samotności długodystansowca* i wypowiedziane z satysfakcją uwagi o zbyt dosłownym potraktowaniu tematu przewodniego (fatalna dykcja plus czas trwania monodramu).

Sądzę, że prawdziwi czepialscy nie porzuciliby na tym. Wśród „ofiar” widzę także Andrzeja Sadowskiego, Sylwestra Woronieckiego i Janinę Bocheńską. Może powodów do narzekania znalazłoby się nieco więcej, ale te, które wymienilem mają jedną, wspólną cechę – dotyczą aktorów doświadczonych, a nawet laureatów poprzednich festiwali.

Poszukiwania twórcze Andrzeja Sadowskiego kojarzą mi się z popularną zabawą w „ciepło-zimno”. Nagrodzony w 1983 roku spektakl *Bo czyż pod stołem, który nas dzieli, nie trzymamy się wszyscy tajnie za ręce?* – oceniłbym w tej zabawie na ciepło, ale jeszcze nie gorąco. Zaś poczynania zatytułowane *Zdarzyło się to pewnego dnia, w którym księżyc rozpoczął swoją pierwszą wędrówkę*, zawędrowały w stronę zdecydowanego zimna. Zbyt wiele pomysłów na domysły, za dużo chwytów typu improwizacja-improwizacja. Forma z treścią toczą równą walkę. W sumie bałagan. Jedno wszak jest pewne – Sadowski znajdzie w końcu to, czego szuka. O to jestem zupełnie spokojny.

Sylwester Woroniecki – wybierając *Sprawy Polaków* za kanwę swojego monodramu miał dobre chęci. Wziął pod uwagę ekspansywność teatru jednego aktora, dzięki której nośności nabierają intelektualne i ważne treści, uderzające

Jerzy Szymczuk

W tym szaleństwie jest metoda?

JERZY NOWAK W „APELACJI” WG JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO



JERZY BÓNCZAK W „PAMIĘTNIKU WARIATA” WG MIKOŁAJA GOGOLA



w strunę smutnej rzeczywistości. Niby wszystko się zgadzało, a po dziesięciu minutach monologu, na sali zrobiło się zwyczajnie nudno. Dlaczego? Widać większość widzów czytała wcześniej wspomnianą książkę Edmunda Osmańczyka. A ponadto spektakl teatralny w formie prelekcji nie jest spektaklem, lecz prelekcją. No cóż, teatru właśnie zabrakło.

W tym miejscu nie powinno właściwie być akapitu. Sprawa dotyczy bowiem w dalszym ciągu Sylwestra Woronieckiego, choć innego jego scenariusza, którego grzechem tym razem było – przeteatralizowanie. Zgodnie z prawem to próba literackiego zapisu losów Sydonii Borek, żyjącej w siedemnastym wieku szlachcianki oskarżonej o morderstwo i czary. Próba zapisu nie udała się autorowi Marianowi Kowalskiemu, a scenariusz i reżyseria nie wyszły Woronieckiemu, w rezultacie ofiarą tych poczyniń padła znakomita aktorka szczecińska, Janina Bocheńska uwikłana w niepotrzebne symbole i gesty.

Przy omawianiu festiwalowej imprezy teatralnej zawsze kusi, aby opisać główne nurty literackie, tendencje. Sprawa jest łakoma, gdyż takie „porządkowania” można dokonywać w nieskończoność, biorąc za motyw przewodni na przykład zawartość tekstów, środki aktorskie, scenografię, światło itp. Każdy z elementów głównych rozbija się na drobniejsze, drobniejsze na bardziej szczegółowe itd. „Metoda głównych nurtów i tendencji” wykorzystywana bywa często jako zaczyn do nie kładących się dyskusji, co miało zresztą miejsce na toruńskim forum. Tam martwą ciszę starali się ożywić jurorzy, przedstawiając swoje podziały i klasyfikacje. Nie będę jednak z nimi zapoznawał czytelników, gdyż dotyczyły kilku zaledwie spektakli, były więc niereprezentatywne. Moje zaś posłuszenie się omawianą metodą jest (oczywiście!) obiektywnie odkrywcze i celne. Otóż, przedstawienia XIX OFTJA można podzielić na: męskie i damskie. Kolejność nie jest tu przypadkowa. Męskich było trzynaście, zaś damskich tylko trzy (za to o bogatej skali kobiecych reakcji, wrażliwości i uniesień).

Znaleźć siebie w dziele literackim – to jedno z głównych przykazań dla aktora monodramisty. Później wystarczy tylko przekazać swoją fascynację widzowi. Po prostu to proste, ale nie zawsze wykonalne. Najtrudniejsze jest chyba prawdziwe pojednanie z tekstem. Dlatego niczego dobrego nie wrożyłem Magdalenie Kucie-Jastrzębskiej przed jej występem zatytułowanym *Przypowieść o ziarnie* opartym na poezji Sylwii Plath. Mój niepokój zrodził się z przekonania, iż wiersze amerykańskiej poetki są zbyt osobiste, niemal biologicznie związane z nią samą. Po paru minutach przedstawienia zrozumiałem swoją pomyłkę. Aktorka decydując się na tekst nie musiała brnąć przez przeszkody, odnalazła bowiem część siebie w trudnej, ale pięknej poezji. Transmisja do od-

biocy, to już czczya formalność. Efektem był dojrzały, malarski spektakl.

Wiele pułapek czyha na aktora, który decyduje się zaprezentować tekst romantyczny, napisany w dodatku przez klasyka wielkiej epoki. Żeby było dobrze – narzucający się nachalnie smutek trzeba zastąpić nastrojem, podręcznikowość ciekawym tekstem, niescenicznosc teatralnością.

Wszystkie te przeszkody pokonała bezbłędnie Złuta Zającówna, prezentując *Anhellego* wg Juliusza Słowackiego. Z wielopłaszczyznowego utworu wybrała trafnie sobie tylko bliskie wątki. Przebiła się dzielnie przez biblijną prozę. Łańcuch pełnych grozy scen *Anhellego* był w wykonaniu młodej aktorki dużym wydarzeniem festiwalu. Młodość, talent, wytrwałość – te walory dobrze wykorzystane powinny zaowocować w tarnowskim teatrze, gdzie Złuta Zającówna rozpoczęła od niedawna pracę.

Dosyć zabawnie zapowiadał się trzeci dzień festiwalu. Los zrządził, iż w czterech spektaklach miało wystąpić czterech Jerzych. Wtajemniczeni i otrząskani wiedzieli też, że trzy przedstawienia to trzy różne ujęcia chorób umysłowych. Z wariactwa wylamał się jedynie Jerzy Hojda, ale on w ogóle się wylamał, prezentując (całkiem sprawnie zresztą) spektakl niemy, czyli pantomimę. W kuluarach podśledzałem niechcący rozmowę, z której wynikało, że teksty „wariackie” to dla aktorów samograje, istny owies dla konia.

„Dzień Jerzych” otworzył Jerzy Bończak. Mała salka pękała w szwach. Takiego tłumy dziewięcioletnia historia festiwalu toruńskiego nie notowała. Nie wszystkim chętnym udało się wejść, aby zobaczyć *Pamiętnik wariata* wg Mikołaja Gogola w wykonaniu bardzo popularnego aktora filmu i telewizji. Jerzy Bończak miał do pokonania dwie znaczne przeszkody. Po pierwsze, mimo swego doświadczenia zawodowego, forma teatru jednego aktora nie była mu dotąd znana. Po drugie *Pamiętnik wariata* to tekst ograny, realizowany już między innymi przez Mirosława Gruszczyńskiego, Jana Młodawskiego i Marka Walczewskiego. Wszelkie wątpliwości przysnęły bardzo szybko. Zrzućnawany psychicznie przez ludzką tępotę, okrucieństwo, ubóstwo i bezprawie Popryszczyn zbierał raz po raz brawa przy otwartej kurtynie. Tak, klaskano Popryszczynowi, bo Bończak przestał istnieć. W pewnej chwili usłyszałem za swoimi plecami szep – pełny profesjonalizm. Nie pamiętam kiedy przedtem użyto tego sformułowania w Toruniu. Pełny profesjonalizm – to chyba najcenniejsza recenzja wydarzenia numer jeden na XIX OFTJA. Kunszt aktorski Jerzego Bończaka sprawił, iż nasunęła mi się jeszcze jedna refleksja. W zanikających już dyskusjach o środkach wyrazu artystycznego w monodramie winny zniknąć na zawsze narzekania na zbyt rozbudowaną scenografię. Bo jeśli każdy z elementów scenografii współtworzy widowisko, to o czym rozprawiać?

Oglądając drugi spektakl dnia, przypomniałem sobie rozmowę podsłuchaną w kuluarach. Czy *Kwiaty dla myszy* wg Daniela Keyesa to tzw. „samograj”? Czy może młody, początkujący aktor Jerzy Gudejko jest aktorem bardzo zdolnym i to sprawia, że patrzę na spektakl w pełnym skupieniu, z zainteresowaniem. Spróbuję postawić odważną tezę, że i jedno i drugie ma tu swoją mocną wymowę. *Kwiaty dla myszy* to wzruszająca opowieść typu science-fiction o wstrząsającym losie człowieka, który z biegiem fabularnych okoliczności przechodzi w swoim życiu serię przepoczwazzeń. Z chorego umysłowo poczwicwa przeistacza się w super intelektualistę, by znów wrócić do pierwotnego wcielenia. Taki układ tekstu to dla aktora prawdziwa gratka. Pod jednym warunkiem – to jest gratka dla dobrego aktora, lub, jak w przypadku Jerzego Gudejki, dla kandydata na dobrego aktora. Gudejko stworzył przekonującą postać. Na tyle przekonującą, że można mu śmiało wybaczyć drobne usterki techniczne, np. momentami zupełnie niezrozumiałą artykulację. Charlie Gordon, chory umysłowo, miał kłopoty z wymową, ale widząc, wiedząc o tych kłopotach, powinien słyszeć co Charlie Gordon ma do powiedzenia.

Zanim przenieśliśmy się do kliniki psychosomatycznej okazało się, iż nawet jurorzy nie mają gdzie siedzieć. Po sprawdzeniu, że miejsce na scenie, dla Jerzego Nowaka, jest wolne rozpoczął się spektakl *Apelacji* Jerzego Andrzejewskiego. Równą godzinę trwała wspaniała uczta duchowa, aktorskie misterium, pokaz... pełnego, uczciwego zawodowstwa. Historia pogruchofanego przez życie człowieka, który – jak sam mówił – „na uczciwości zdrowie stracił”, długo pozostanie w pamięci. *Apelacja* w wykonaniu Jerzego Nowaka to wielka, wybitna kreacja.

Byli tacy, którzy po „dniu Jerzych” czy „dniu wariatów” (jak mawiano żartobliwie) uważali, że festiwal mógłby się już skończyć. Ja też byłem tego zdania do momentu, kiedy ostatniego dnia wystąpił Jan Wojciech Krzyszczak ze spektaklem *Sokrates oskarża* wg Kostasa Varnalisa. Krzyszczak to już firma w monodramie, tekst Varnalisa to esencja humanizmu i mądrości. W sumie „wykład” bynajmniej nie filozoficzny, a „kawa na ławę” ludzkich wad, słabości, okrucieństw i głupoty. Wszystko to bardzo teatralne, po mistrzowski podane. Nie mogę użyć słów – pełny profesjonalizm, bo redaktor adiustujący stwierdzi, że się powtarzam. I żeby mi naprawdę nie zarzuceno powielania sformułowań, to jeszcze tylko wspomnę, że kiedy jurorzy obradowali, poza konkursem wystąpił Jan Peszek z monodramem *Scenariusz dla nieistniejącego, ale możliwego autora instrumentalnego* wg Bogusława Schäffera. Do dzisiaj nie rozumiem dlaczego Peszek wystąpił poza konkursem.

Na tym mógłbym właściwie skończyć opowieść o najlepszym do tej pory festiwalu toruńskim. I skończyłbym, gdyby nie

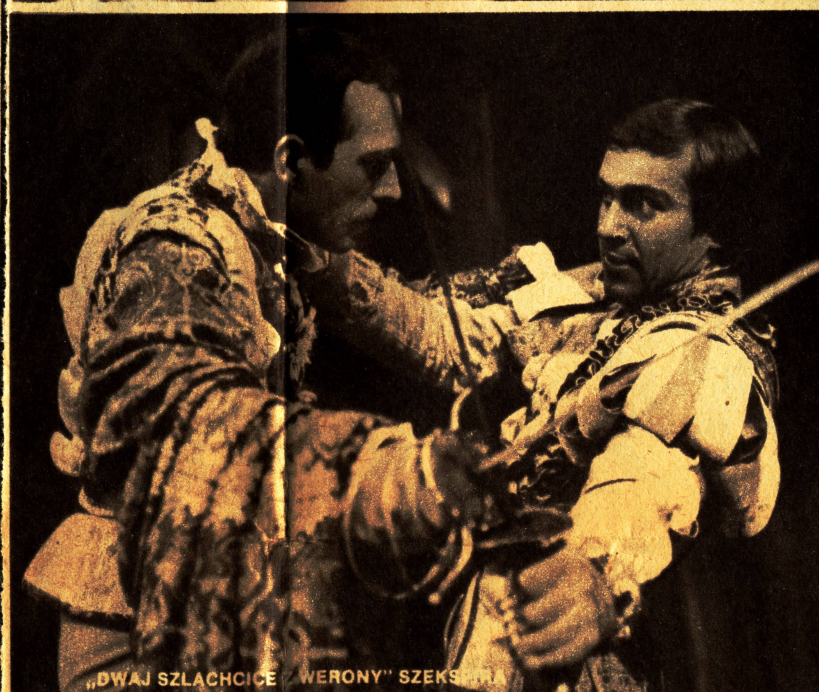
zamieszanie jakie wynikło po ogłoszeniu jury. Zasada przyznawania nagród jest mniej więcej taka: każdy juror (było ich sześciu) oddaje swój głos na jeden tylko, jego zdaniem, najlepszy spektakl; suma głosów powtarzających się decyduje o przyznaniu nagrody głównej; pozostałe, pojedyncze – to już „tylko” nagrody. XIX Ogólnopolski Festiwal Teatrów Jednego Aktora zakończył się tym, iż główną nagrodę otrzymał Jerzy Gudejko (4 głosy), a nagrody – Jerzy Bończak (1 głos) i Jerzy Nowak (1 głos). Z tego wynika, że o mały włos Bończak i Nowak nie zostaliby w ogóle zauważeni. Głównym winowajcą tego nieporozumienia nie jest moim zdaniem regulamin, czy jurorzy. Winę ponosi całkowicie Jan Paweł Gawlik, który w 1977 roku swoją nagrodę przyznał nie obiektywnie najlepszemu aktorowi, a – jak ją sam nazwał – „przyszłości polskiego aktorstwa” Dorocie Stalińskiej. Precedens! Przyszł rok 1982 i główną nagrodę otrzymuje nie, obiektywnie najlepszy wtedy Henryk Boukołowski, a dobrze zapowiadający się, młody człowiek – Cezary Nowak. Do tego momentu jest wszystko w porządku. Gorzej natomiast z decyzją tegoroczną, bo jak tak dalej pójdzie to organizatorzy będą zmuszeni do dopisania w nazwie festiwalu przymiotnika – Początkującego. Efekt – OFTJAP. Fe!

Na szczęście jurorzy mają do dyspozycji inne nagrody, przyznawane są na wspólnych obradach, przy okrągłym stole. Tu już było lepiej. Nagrodę wojewody toruńskiego za piękny debiut i oryginalną formułę teatru jednego aktora otrzymała Magdalena Kuta-Jastrzębska. Nagrodę prezydenta miasta Torunia za kreację aktorską plus nagrodę dziennikarzy – Jerzy Nowak. Nagrodę ZG ZSMP za kreację aktorską otrzymał – Jerzy Bończak. Nagrodę ZG RSW „Prasa-Książka-Ruch” za wartości treści humanistyczne otrzymał – Jan Wojciech Krzyszczak. Nagrodę ZG Towarzystwa Kultury Teatralnej za twórczą kontynuację nurtu słowa poetyckiego otrzymała – Złuta Zającówna.

Wymieniwszy wszystkich nagrodzonych korci mnie, by wspomnieć choć o jeszcze dwóch nagrodach wręczonych w Toruniu Złucie Zającównie i Magdalenie Kucie-Jastrzębskiej. Prywatnych nagrodach! Pouczony jednak zabawnym felietonem Ewy Moskalówny zamieszczonym w „Głosie Wybrzeża”, nie mogę zdradzić nazwiska fundatora. Uczyniła to już (jak pisze E. Moskalówna) PAP, zapominając niefortunnie o innych, ważniejszych wyróżnieniach. Chcąc zaspokoić jednak rozpaloną niewątpliwie ciekawość czytelników uchylę rąbką tajemnicy, streszczając fragment felietonu: niezwykle atrakcyjny (podobny do R. De Niro), opryskliwy (w takiej formie odpowiadał na „gratulacje”), bogaty (nagrody funduje), pracowity (własnymi rękami), krawiec. I to tyle, co ja mogę powiedzieć. Zainteresowanych szczegółami odsyłam do wydania „Głosu Wybrzeża” (23–24 marca br.) nr 70. Dla ułatwienia poszukiwań podaję tytuł felietonu: „Dar Szymczuka”. ●



„KRÓL W KRAJU ROZKOSZY”



„DWAJ SZLACHCICE WERONY” SZEKSPIERA



„MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ” ZAPOLSKIEJ



„INDYK” MROŻKA



„LEKKOMYŚLNA SIOSTRA” SZYBORSKIEGO